

Djalogi i Monologi.

PRZEMĘDRKOWAŁ

OBRAZEK W JEDNEJ ODSŁONIE.

OSOBY:

DJONIZY — lat 35.

KAMILLA — lat 24.

SŁUŻĄCY.

Rzecz w Warszawie. — Salonik.

SCENA PIERWSZA.

(Wchodzi Djonizy — za nim służący).

DJONIZY: Nie zastałem nikogo, powiadasz? Zaczekam.

SŁUŻĄCY (z zakłopotaniem): Kiedy bo... kiedy bo...

DJONIZY: Nie znasz mnie... boś nowy. Jestem blizkim znajomym twoich pań. Nie potrzebujesz mnie pilnować.

(służący odchodzi).

SCENA DRUGA.

DJONIZY (sam): Ten pokoik! ah!.. Po całorocznej nieobecności widzę go znowu, oglądam... Wszystko tu jak było... jak gdybym wczoraj opuścił te progi... Kanapka, stoliczek z robótką i ulubionymi autorami... Zegar, ozdobiony Kupidynem a mimoto tak bezlitośnie wydzwanający godziny rozstania, aż wyzdwoił jedną, trwającą rok cały!... Co też one mówią o tym nagłym wyjeździe moim? ciekawym—hm... hm... pewno nic dobrego. Dziś wyjaśni się wszystko. Jakżem rad, że czas próby już minął, żem tutaj znowu, w tym po-

koiku uroczym... (rozgląda się) Oto albumy, w jednym z których, w tym oto, numer 1-szy, z najbliższymi, wdzięczna podobizna mojej facjaty... Zaraz na początku, na trzeciej karcie... ot tu... (przerzuca karty albumu) Nie! co u djaska! Gdzież się podziałem?... Niema! (szybko przerzuca karty) Nawet na końcu, na szarym końcu nie masz mnie!.. Niema mnie wcale! o zgrozo! Wyrzucony?... A nie, może tylko zdegradowany, pod numer 2-gi między dalszych, obojętniejszych?... ha, zobaczymy — (sięga po drugi album) Gwałtu! i tutaj nic! nic! ani znaku!.. Noo, to już ani wątpić! wyrzucony! wymieciony z kretesem!.. Tam do licha! źle: bardzo źle!.. Być że to może, panno Kamillo?... Pani, co takie raki piekłaś na mój widok, coś mnie tak gorąco wyróżniała wobec innych wielbicieli, ba, wobec samego nawet pana Zenona!.. ot, przecież p. Zenon, to nie przelewki! to dziedzic 40-o włótkowego majątku, w Gostyńskiej pszennej glebie, kiedy ja, żał się Boże, mizerota, chudzina, siedzę na dwudziestu załedwie i to z przeproszeniem w Stanisławowskim powiecie. W owem osławionem Stanisławowskim, o którym legenda prawi, że gdy djabeł, kusząc Chrystusa, ukazywał Mu wszystką ziemię, tę jej częśćkę skromnie nakrył ogonem, by nie psuć ogólnego efektu!—Pani o tem wiedziałaś, mimo to najczulszem zawsze darzyłaś mnie powitaniem. I jam był dumny — i jam był szczęśliwy, widząc, że sympatje twoje osób, nie zaś tyczą się fortuny. A dziś? a teraz?... Oh, co za zawód!.. Dyziu, już po tobie!.. Nieba! co widzę!.. Tutaj, na tej ścianie!.. Jaż to, czy nie ja?... Ależ ja! ja! w całej okazałości!.. Wiszę, oprawny w ramki!.. Co za radość! co za szczęście! Nie wisi, kto chce! Żeby wisieć, trzeba mieć zasługi!.. Wiszę, ah to uspokaja mnie w zupełności, to nawet doda mi swady przy oświadczeniach.. Bo dziś oświadczam się nieodwołalnie, tak, nieodwołalnie. Pięć lat studjów nad

charakterem panny, jej mamy... hm, hm. Mamy, przeobrazić się mającej w teściową! brrr! to nie bagatela! Sama taka m a m a wymagałaby osobnego, kilkoletniego kursu... A gdzież moje usposobienie, gusta, nałogi? i t. d. Eh, na to i dzieciątek lat nie za wiele... Z uwagi wszakże na ograniczony termin ludzkiego żywota, a zwłaszcza warunków w zakres hy-menu wchodzących, zwlekać dłużej, byłoby dzieciństwem... Dziś tedy... Ah, dzwonek! wracają — ojoj! jak mi serce młóci z trwogi!.. Odwagi Dyziu, odwagi!.. (nasłuchuje i kobiecym głosem) „Mama nie wróciła jeszcze?“ — (naturalnie) To ona! ona! jej głosik pieśczone... Ciszej serce, nie kołacz tak głośno. Ona!

(wchodzi Kamilla w kapeluszu, z parasolką — spostrzegłszy Djonizego, zatrzymuje się, mocno zmieszana).

SCENA TRZECIA.

DJONIZY, KAMILLA.

KAMILLA (jak wyżej): Ah!

DJONIZY (z uniesieniem): Panna Kamilla!

KAMILLA: Pan Djonizy!.. pan!

(witają się).

DJONIZY: Ja, we własnej osobie. Prosto z wagonu — tu, pierwiej nawet niż do domu.

KAMILLA: Co za niespodzianka!.. A ja myślałam, że już pana nie ujrzymy nigdy. Wyjechałeś tak nagle, bez za-wiadomienia, bez pożegnania!..

DJONIZY: Z umysłu, droga panno Kamillo, z umysłu. Taki plan ukartowałem sobie z góry.

KAMILLA: Plan? (zdejmuje kapelusz, rękawiczki).

DJONIZY: Nie inaczej. Ale dziś wszystko wyznać mogę szczerze, wypowiadać otwarcie... (całuje jej ręce z czułością). Jestto nawet pierwszym moim obowiązkiem... O droga, najdroższa panno Kamillo! ah!

KAMILLA: Słucham, słucham z wielką ciekawością. Siadaj pan, proszę.

(siadają).

DJONIZY: Owóż, bez żadnych wstępów i omówień, na które szkoda czasu, wytłomaczę najdroższej pani — nic nie ukrywając, moje od lat pięciu postępowanie, t. j. od pierwszego z panią spotkania, w dniu 22 maja, o godzinie szóstej po południu, minut dwadzieścia.

KAMILLA: Na wsi, u mojej ciotki.

DJONIZY: Zeszedłem panią w ogrodzie, zbierającą fiołki. Miałaś ich pełno we włosach, u stanika, w koszyczku.

KAMILLA: Pan pamięta?

DJONIZY: Czy pamiętam to dziewczę w bieli, piękniejsze i świeższe od zrywanych kwiatów!... o pani! pani! (hamując się) Wnet jednak rzekłem do siebie: „Dyziu! panna jest czarująca, ale ostrożnie, ostrożnie Dyziu, bo i w najbarwniejszym kwiecie mieści się trucizna“.

KAMILLA: Aaa! tak pan powiedziałeś sobie? proszę!

DJONIZY: Ponieważ zaś czułem, że to już na całe życie — od tego zaraz dnia, jałem studjować panią.

KAMILLA: Studjować!.. doprawdy?

DJONIZY: Obserwowałem, czyś nie jest kapryśną, płochą, kokietką. żadną zabaw i zbytku... Czego szukać będziesz w małżeństwie: przywiązania czy kariery?

KAMILLA: Panie!

DJONIZY: Niestety panno Kamillo — jam systematyk i lubię kwestje, tłumaczące się jasno — cóż dopiero kwestję nad kwestjami, jaką jest ożenek! Dla tego roztrząsałem wszystkie pro i contra danej sytuacji. Postronne nawet okoliczności brałem pod uwagę.

KAMILLA: Postronne?

DJONIZY: Dostrzegłem np. że pewien pan Zenon, wielce lubuje się towarzystwem pani, wysiewając jednocześnie tysiące korcy buraków, kiedy ja, chudeusz, produkuję ich tyle akurat, co na ćwikłę. Skutkiem czego powstały w duszy mojej wątpliwości, zali godziwą rzeczą jest, narzucać się panie ze swą ćwikłą... (poprawia się) ze swą biedą, wobec mąjniejszego rywala.

KAMILLA (wesoło): Rozumiem — walka z sumieniem.

DJONIZY: Całoroczna — zakończona wszakże zwycięstwem...

KAMILLA (dalej): Stanisławowskiej ćwikły, nad...

DJONIZY (kończąc): Nad Gostyńskimi płonami. Następnie studjować zacząłem.: daruj pani, ale... szanowną jej... mamę.

KAMILLA (z oburzeniem): Co! i mamę!

DJONIZY (całując ją w rękę): Przebaczenia! W charakterze teściowej.

KAMILLA (jak wyżej): Aah, panie!

DJONIZY: Wyrok również wypadł pomyślny.

KAMILLA (z ironią): Na szczęście!

DJONIZY: Z kolej, należało wziąć w rachubę, własną osobistość! Widzi pani, że jestem sprawiedliwy. Kochałem, kochałem całym sercem — ale czyż to dość? czy to już wszystko?... A któż mi zaręczy, że zdołałem wzbudzić wzajemność? a zdoławszy, że ją utrzymać potrafię? że sam się nie zmienię?

KAMILLA: Nowa walka z własnymi namiętnościami.

DJONIZY: Pani łaskawa urąga mi...

KAMILLA: Zkądże znowu!

DJONIZY: Ten uśmieszek ironiczny... oj, oj!

KAMILLA: Przywidzenie — mów pan dalej.

DJONIZY: Walka, nie — ale próba. Zakopałem się po uszy na wsi, gospodarując bez wytchnienia, wertując dzieła najgłośniejszych agronomów. Później, rzuciłem się w wir zabaw. Zawierałem nowe znajomości, jeździłem w sąsiedztwa zdobne pannami, grałem w karty, polowałem. Gdy mi i to wydało się niedostatecznym, postanowiłem... tak pani, postanowiłem w interesie nas obojga, oddać się na czas pewien od pani, stracić cię z oczu całkowicie. Ztąd to zeszłej jesieni, zaraz po siewach — wyjazd za granicę.

KAMILLA. Aha! więc to z tej racji!.. A ja sądziłam... a ja mniemałam... lecz idźmy dalej.

DJONIZY: Zagranicą hulałem — przebacz pani moją otwartość... Lampartowałem się w Wiedniu, w Paryżu, w Berlinie z kobietami różnych nacji i... temperamentów.

KAMILLA (z ironią): Wszystko gwoli wypróbowania własnej stałości? Czy tak?

DJONIZY: Jedyne — przysięgam! Skoro tedy ani zapamiętała gospodarka, ani karty, ani... temperamenty, ani samo nawet oddalenie, nie zdołały zatrzeć w piersi twego obrazu, powiedziałem sobie...

KAMILLA: „Dyziu!”

DJONIZY: Tak — Dyziu!.. rzekłem do siebie: Dyziu, tyś jest niby opoka, nie wzruszony. Liczyć na siebie możesz i drudzy mogą liczyć na ciebie. Uczyniłeś wszystko, co najroztropniejsza roztropność, najprzezorniejsza przezorność uczynić nakazywały. Dość tych walk i prób. Pora działania wybiła. Spiesz do bogini swych marzeń, a padłszy do drobnych jej stópek (klęka) wołaj: „O pani! o najdroższa!.. Nie żaden lekkoduch ani wartogłów...”

KAMILLA (zerwawszy się z krzesła): Co pan czynisz! powstań, powstań natychmiast.

DJONIZY: Nie pani, nie powstanę, póki nie wyznam całego ogromu uczuć, jakimi płonę dla ciebie! Póki nawzajem z usteczek twych różanych, nie usłyszę przyrzeczenia iż... żoną moją...

KAMILLA (przerywa): Co! co!

DJONIZY (kończąc): nazwać się zezwolisz.

KAMILLA: Żoną pańską? ja? ja!

DJONIZY: Błagam na kolanach.

KAMILLA: Pańską żoną! (śmieje się) ha ha ha!

DJONIZY (zdumiony jej śmiechem): Pani?..

KAMILLA: Oświadczyny! najformalniejsze oświadczyny, jak mamę kocham. A to paradne! ha ha ha!

DJONIZY (zrywając się z klęczek): Ten śmiech?!

KAMILLA (śmieje się): Ha, ha, ha!

DJONIZY (urażony): Na honor, to nie do pojęcia!.. I cóż tak śmiesznego mieści się w prośbie mojej?

KAMILLA: Jakto, co śmiesznego?.. Ależ najśmiesznieszego pod słońcem!.. Pan żadasz mojej ręki, kiedy ona... (urywa).

DJONIZY: Cóż?

KAMILLA: Kiedy ja... ha ha ha! (śmieje się).

DJONIZY: Prędzej, prędzej — oh, co za męka!

KAMILLA: Zgoła żadasz rzeczy niepodobnej.

DJONIZY: Dlaczego? dlaczego niepodobnej?.. Czyżby uchowaj Boże, pan Zenon...

KAMILLA: Pan Zenon, otrzymawszy odemnie jeden po drugim dwa harbuzy, pojechał konsumować je z inną panną.

DJONIZY: Więc czemu? czemu nie możliwej? Zechciej pani wyjaśnić.

KAMILLA: Czemu? ha ha... Oto temu, łaskawy panie Djonizy, że ja... już... hahaha!

DJONIZY: Już?

KAMILLA: Mam...

DJONIZY: Mam?

KAMILLA: Męża, drogi panie, męża!

DJONIZY: Wszelki duch Pana Boga chwali!

KAMILLA: I ja Go chwale.

DJONIZY: Mężał.. Pani wyszłaś za mąż!!! kiedy? jak? za kogo?

KAMILLA: Od dwu miesięcy, za pana Wujkowicza.

DJONIZY: Za Wujkowicza! O ja nieszczęśliwy! naj-nieszczęśliwszy z ludzi! Panno Kamillo, to niegodne! — Pani wiedziałaś o przywiązaniu mojem.

KAMILLA: Oh!

DJONIZY: Widocznem było, że i w twojem sercu...

KAMILLA: O, nie wspominajmy o tem, nie mówmy na Boga!

DJONIZY: Czemu? Wszakżeś się pani nie ukrywała prawie. Byłaś szczerą, serdeczną... (z czułością) Pani...

KAMILLA: A więc tak! tak! tać nie będę! Miałam dla pana przyjaźń, przyjaźń gorącą — oh, więcej może niż przyjaźń, wierzaj mi—lecz pan sam zabiłeś we mnie to uczucie.

DJONIZY: Ja?

KAMILLA: Swem postępowaniem dzikiem, okrutnem zabiłeś miłość moją!

DJONIZY: Boże! co słyszę!

KAMILLA: Pięć lat torturowałeś mnie pan swoim wahaniami, nieufnością, kunktatorstwem.

DJONIZY: Ja!

KAMILLA (unosząc się stopniowo): Oh! takeś pan ważył, mierzył, w palce pukał... Raz się zbliżał, to znów cofał, wreszcie znikł bez wieści, że nakoniec ja, mimo najgorętszej sympatji, najwyższej cierpliwości, musiałam uczuć się obrażoną, musiałam uwierzyć, że dla pana niczem.

DJONIZY: Co! ah co! ty pani, niczem!

KAMILLA (z wybuchem): Gorzej! żeś się mną bawił

jedynie!.. Żeś samolub, żeś bez serca, skoro ani pomyślałeś, ile cierpieć mogę, porzucona tak okrutnie, bez słowa pociechy, bez słowa nadziei! oh!

DJONIZY: To był mój system.

KAMILLA: System?.. Winszuję! Wówczas, pełna żalu, bólu i urazy, postanowiłam nie widzieć pana więcej, zerwać wszystko między nami, zapomnieć...

DJONIZY (z gorzką ironją): I dopięłaś pani swego bardzo prędko.

KAMILLA: Spytaj pan mamy i siostry, po ilu przepłakanych dniach i nocach!

DJONIZY: W głowie mi się mąci!.. (po pauzie, jakby coś nagle przypominając sobie) Ale! a ten mój portret? tutaj, na ścianie? co znaczy? co znaczy? Nie wisi, kto chce. — Żeby wisieć, trzeba mieć zasługi.

KAMILLA (ze śmiechem): Właśnie! Egzekucja in efigiel Figiel mojej przyjaciółki — nic więcej.

DJONIZY: O ja nieszczęsny! nieszczęsny! Utraciłem skarb najdroższy na ziemi, przywiązane serce kobiety, utraciłem z własnej winy!

KAMILLA: Stało się... Miłość prawdziwa nie jest tak ostrożną.

DJONIZY: Szalony! Mędrkowałem, mędrkowałem, aż przemędrkowałem !!

KAMILLA: Tak panie, przemędrkowałeś—bo nie każdą dolę cyrklem wymierzyć można. A jak pewne przysłowie głosi — trzy są wypadki na świecie, w których rozum ludzki nie poradzi zgoła. Gdy idzie o obiór konia, melona i żony—najmędrszy zdać się musi na Opatrzność.

DJONIZY: Oh!

KAMILLA: Radzę zapamiętać to sobie... przy nowych konkurach.

DJONIZY: Dzięki — ale mi ta rada nie potrzebna wcale. Nie chcę odtąd melona ni żony. W tobie był mój raj... Zemściłaś się okrutnie. — Żegnaj, o pani, żegnaj na zawsze.

(oddala się, szczerze zboląły).

KAMILLA (sama): Bywaj zdrów — biedny kunktatorze. Serce niewieście, to nie przedmiot do wiwisekcji. Z wosku, gdy kochane — pod ostrzem skalpelu, w granit się zamienia! Lepiej żeśmy się rozstali. Żegnaj.
